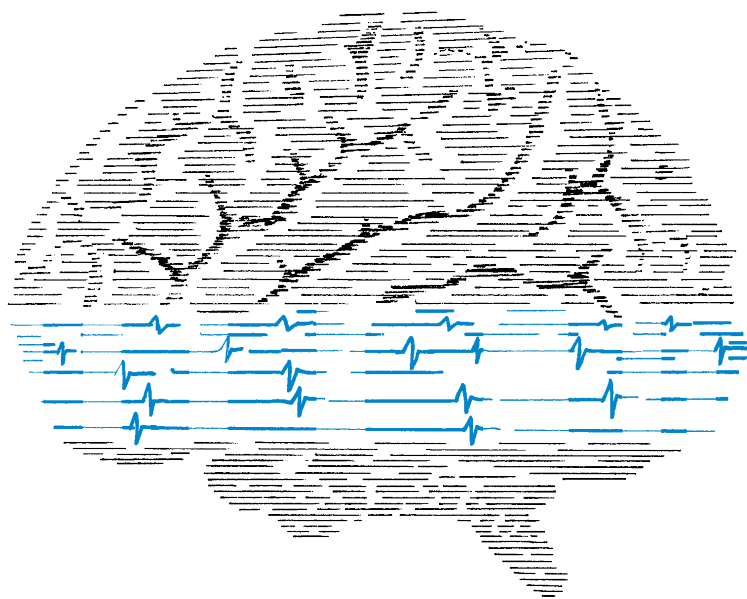


Thomas
Bernhard
Mróz



CZY
TEL
NIK

Thomas
Bernhard
Mróz

Przełożył
Sławomir Błaut

Posłowiem opatrzył
Marek Kędzierski

CZYTELNIK

Tytuł oryginału: *Frost*

© Insel Verlag Frankfurt am Main 1963.
All rights reserved by and controlled through
Insel Verlag Berlin.

Projekt okładki i karty tytułowej
Agnieszka Cieślikowska

Redaktor nowego wydania
Mariusz Zwoliński

Redaktor techniczny
Hanna Bernaszuk

Pierwsze polskie wydanie powieści *Mróz* ukazało się
w Wydawnictwie Poznańskim w 1979 r.

© Copyright for the Polish translation
by the Estate of Sławomir Błaut, 2020

© Copyright for the Afterword by Marek Kędzierski, 2020

© Copyright for the Polish edition by
Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Warszawa 2020

ISBN 978-83-07-03470-6

- Co ludzie mówią o mnie? – spytał.
- Mówią: idiota? Co ludzie mówią?

DZIEŃ PIERWSZY

Praktyka szpitalna studenta medycyny nie polega przecież tylko na przyglądaniu się skomplikowanym operacjom jelit, na unieruchamianiu płuc i odpilowywaniu nóg, nie polega doprawdy tylko na zamykaniu oczu zmarłym i wyciąganiu dzieci na świat. Praktyka szpitalna to nie tylko rzucanie przez ramię do emaliowanego wiadra odpilowanych, w całości lub w połowie, nóg i rąk. Nie polega też na ciągłym dreptaniu za ordynatorem, asystentem i asystentem asystenta, na wleczeniu się w ogonie obchodu. Nie może też polegać jedynie na mamieniu wyssanymi z palca faktami, na tym, że mówię: „Ropa po prostu rozpuści się w pańskiej krwi i będzie pan zdrów”. Ani na setce innych kłamstw. Nie tylko na tym, że mówię: „Wszystko będzie w porządku” – kiedy nic już nie będzie w porządku. Praktyka szpitalna studenta medycyny to przecież nie tylko okazja, żeby nauczyć się rozcinania i zszywania, podwiązywania i wytrzymywania. Praktyka szpitalna musi liczyć się też z pozacielesnymi faktami i możliwościami. Moja misja, polegająca na obserwowaniu malarza

Straucha, zmusza mnie do zajmowania się takimi pozacielesnymi faktami i możliwościami. Do badania czegoś niezbadanego. Do odkrywania tego czegoś aż po pewien zdumiewający stopień możliwości. Jak odkrywa się spisek. A może wszak być, że pozacielesność, przez co nie mam na myśli duszy, że to, co jest pozacielesne, nie będąc duszą, o której nie wiem, czy istnieje, po której spodziewam się jednak, że istnieje, że to liczące sobie tysiące lat przypuszczenie jest liczącą sobie tysiące lat prawdą; może przecież być, że z bezcielesności, z tego mianowicie, co pozbawione komórek, wywodzi się wszystko, nie zaś na odwrót i nie tylko jedno z drugiego.

DZIEŃ DRUGI

Jechałem pierwszym pociągiem, tym o wpół do piątej. Pośród skalnych ścian. Z lewej i z prawej było czarno. Wsiadając, trząśłem się z zimna. Potem z wolna zrobiło mi się ciepło. Do tego głosy robotników i robotnic, którzy wracali z nocnej zmiany. Od razu zyskali moją sympatię. Kobiety i mężczyźni, młodzi i starzy, ale jednakowo usposobieni, od stóp do głów, przez piersi czy jądra, niewyspani. Mężczyźni w szarych czapkach, kobiety w czerwonych chustkach. Nogi owinęli sukiennymi gałganami, jest to jedyna możliwość, by zimnu pokrzyżować szyki. Natychmiast wiedziałem, że chodzi o grupę odśnieżaczy, która dosiadła się w Sulzau. Było ciepło jak w krowim brzuchu: powietrze tak gęste, jak gdyby

ustawicznie przepompowywało się samo, przy niesamowitym waleniu serca, z ludzkich ciał w te same ludzkie ciała. Nie rozmyślać. Przywarłem plecami do ściany wagonu. Ponieważ nie spałem całą noc, zapadłem w drzemkę. Ocknąwszy się, znów zobaczyłem ślad krwi, który na mokrej podłodze wagonu biegł dość nieregularnie, jak odpychana raz po raz przez górskie masywy rzeka na mapie, i kończył się między oknem a jego ramą pod hamulcem bezpieczeństwa. Krew wyciekła ze zmiażdżonego ptaka, którego zgmiotło raptownie zatrzaśnięte okno. Może już kilka dni temu. Tak mocno, że nie wpadał najłżejszy powiew. Konduktor, który wykonując swą beznadziejną powinność, zajrzał do przedziału, nie zwrócił wcale uwagi na martwego ptaka. Ale musiał go już widzieć. Wyczułem to. Nagle usłyszałem opowieść o uduszonym w śnieżnej zawiei dróżniku, która kończyła się tak: „Ten to o nic się nie troszczył”. Czy to za sprawą mojego wyglądu zewnętrznego, czy też mojego wnętrza, które wyrażało się tam, gdzie można było sięgnąć wzrokiem, za sprawą emanacji moich myśli, mojej misji, do której w duchu energicznie się sposobielem – nikt nie przysiadł się do mnie, choć z biegiem czasu każde miejsce stało się cenne.

Pociąg, stękając, sunął doliną rzeki. W myślach przeniosłem się na krótko do domu. Potem daleko stąd, do jakiegoś wielkiego miasta, które kiedyś odwiedziłem przejazdem. Potem spostrzegłem drobinę pyłu na lewym rękawie i usiłowałem je zetrzeć

prawym. Robotnicy wyciągnęli noże i krajali chleb. Pochłaniali duże, grube kawały chleba, zagryzając mięsem i kiełbasą. Kawały, jakich nie jadłoby się przy żadnym stole. Tylko na kolanach. Wszyscy popijali lodowate piwo i byli widać zbyt słabi, żeby śmiać się z samych siebie, mimo że wydawali się sobie śmieszni. Ich zmęczenie było tak duże, że nawet nie przyszło im do głowy pozapinać rozporcki, otrzeć usta. Kiedy wysiądą, pomyślałem, od razu rzucą się na łóżko. A o piątej wieczorem, kiedy inni skończą, oni zaczną na nowo. Pociąg dudnił i opadał w dół, jak rzeka płynąca obok. Robiło się coraz bardziej ponuro.

Pokój jest równie mały i nieprzytulny jak mój pokój praktykanta w Schwarzach. Jeśli tam nieznośnie szumiała rzeka, to tu jest nieznośnie cicho. Na moje życzenie gospodyni zdjęła zasłony. (Wciąż to samo: nie lubię zasłon w pomieszczeniach, które mnie odstrasza). Czuję wstręt do gospodyni. Jest to ten sam wstręt, który w dzieciństwie przyprawiał mnie o wymioty na widok otwartych drzwi rzeźni. Gdyby była martwa, nie budziłaby we mnie, dzisiaj, wstrętu – martwe ciała w prosektorium nigdy mi nie przypominają żywych ciał – ale ona żyje, i to żyje w zgniłym, odwiecznym zaduchu garkuchni. Widocznie spodobałem się jej, bo zataszczyła moją walizkę na górę i zaofiarowała się przynosić mi co rano śniadanie do pokoju, całkiem wbrew swoim zasadom, które nie uznają przynoszenia śniadań do

pokoju. – Pan malarz jest wyjątkiem – powiedziała. Jest też stałym gościem, a stali goście mają przywileje. I przysparzają gospodarzom „więcej kłopotów niż korzyści”. Jak trafiłem do jej gospody? – Przez przypadek – odparłem. Chcę raz-dwa wypocząć i wrócić do domu, gdzie czeka na mnie cała sarta zaległej pracy. Okazała zrozumienie. Powiedziałem, jak się nazywam, i dałem jej swój paszport.

Dotychczas prócz gospodyni nie widziałem jeszcze nikogo, choć przez jakiś czas w gospodzie było bardzo gwarno. W porze obiadowej, którą spędziłem u siebie w pokoju. Zapytałem gospodynię o malarza, na co odrzekła, że jest w lesie. – Prawie zawsze jest w lesie – powiedziała. Nie wróci przed wieczrą. Czy ja znam „pana artystę malarza”? – Nie – odparłem. Stojąc już w drzwiach, zdawała się milcząco pytać mnie o coś, o co tylko kobieta potrafi błyskawicznie zapytać mężczyznę. Byłem zaskoczony. To nie pomyłka. Nie mówiąc słowa i czując raptowne mdłości, odrzuciłem jej propozycję.

Weng to najbardziej ponura miejscowość, jaką kiedykolwiek widziałem. Dużo bardziej ponura niż w opisie asystenta. Doktor Strauch napomknął o niej tylko, jak napomyka się o niebezpiecznym odcinku drogi, jaką ma przebyć przyjaciel. Wszystko, co powiedział asystent, to były napomknienia. Niewidzialne powrozy, którymi z każdą sekundą mocniej wiązał mnie z powierzoną mi przez siebie misją, wytwarzały między nami wręcz nieznośne

napięcie; argumenty, które sączył we mnie, bezwzględnie, odczuwałem jak gwoździe wbijane w mój mózg. Starał się jednak nie spieszyć mnie. Ograni-
czał się do omówienia punktów, których miałem ściśle przestrzegać. Rzeczywiście przeraża mnie ta okolica, a jeszcze bardziej miejscowość zamieszka-
na przez bardzo niskich, ułomnych ludzi, których spokojnie można nazwać upośledzonymi na umyśle. Mając przeciętnie nie więcej niż metr czterdzieści
wzrostu, sную się chwiejnym krokiem pośród spę-
kanych murów i sieni, splódnieni w alkoholowym zamroczeniu. Wydają się typowi dla tej doliny.

Weng leży wysoko w górze, ale wciąż jakby nisko, na dnie wąwozu. Przez skalne ściany nie sposób przejść. Jedynie koleją można się stąd wydostać. Jest to krajobraz, który dzięki niepospolitej brzydocie ma charakter, bardziej niż piękne krajobrazy, które nie mają żadnego charakteru. Wszyscy mówią tu zapijaczonymi, wyszlifowanymi na wysokie C dziecinnymi głosami, kłują nimi człowieka, kiedy koło nich przechodzi. Dźgają. Dźgają z cienia, muszą powiedzieć, bo po prawdzie widziałem dotąd tylko cienie ludzi, ludzkie cienie, w ubóstwie i jakby szaleńczo rozedrganej duchocie. I te głosy, które dźgają z owych cieni, z początku peszyły mnie, zmuszały do przyspieszenia kroku. Te spostrzeżenia poczyniłem jednak mimo to na trzeźwo, nie poddałem się ich destrukcyjnym wpływom. Właściwie wszystko było dla mnie jedynie uciążliwe, ponieważ ogromnie niewygodne. W dodatku musiałem

dźwigać swoją tekturową walizkę, w której klekotała cała zawartość. Drogę ze stacji kolejowej w dole, gdzie jest trochę przemysłu i gdzie buduje się dużą elektrownię, pod górę do Weng można odbyć tylko na piechotę. Pięć kilometrów, których niepodobna skrócić, w każdym razie o tej porze roku. Wszędzie szczekające, wyjące psy. Mogę sobie wyobrazić, że ludzie, którzy nieustannie czynią takie spostrzeżenia, jakie ja poczyniłem w drodze do Weng i w samym Weng, na dłuższą metę dostają obłędu, jeśli nie pogrążą się w pracy, zabawie lub innych stosownych czynnościach, jak kurwienie się, modlenie, upijanie albo wszystko to naraz. Cóż takiego człowieka jak malarz Strauch ciągnie w taką okolicę, i to w tym czasie w taką okolicę, która musi przecież ustawicznie go znieważać?

Moja misja jest ściśle tajna i rozmyślnie, z wyrachowaniem została mi powierzona tak niespodziewanie, z dnia na dzień. Asystent zapewne już od dłuższego czasu nosił się z myślą, żeby zlecić mi obserwowanie swojego brata. Dlaczego wybrał mnie? Dlaczego nie kogoś z pozostałych, którzy tak samo jak ja odbywają praktykę szpitalną? Że często zadawałem mu trudne pytania na określone tematy, a tamci nie? Wbił mi do głowy, że pod żadnym pozorem nie wolno mi wzbudzić w malarzu Strauchu podejrzania, iż cokolwiek łączy mnie z chirurgiem Strauchem, jego bratem. Toteż kiedy malarz zapyta, powiem, że studiuje prawo, aby całkowicie odwrócić uwagę od

medycyny. Asystent wziął na siebie koszta podróży i pobytu. Dał mi pewną sumę, która wydawała mu się znaczna. Żąda ode mnie precyzyjnej obserwacji swego brata, nic więcej. Opisu jego zachowań, przebiegu jego dnia; informacji o jego poglądach, zamiarach, wypowiedziach, opiniach. Relacji o jego chodzie. O sposobie, w jaki gestykuluje, oburza się, „ogania się od ludzi”. O manipulowaniu laską. – Niech pan obserwuje funkcję laski w ręce mojego brata, niech pan ją obserwuje jak najdokładniej.

Chirurg nie widział malarza już dwadzieścia lat. Od dwunastu lat nie utrzymują korespondencji. Malarz otwarcie nazywa stosunki pomiędzy nimi wrogością. – Mimo to, jako lekarz, podejmuję próbę – powiedział asystent. Do tego potrzebuje mojej pomocy. Moje spostrzeżenia będą dla niego bardziej pożyteczne niż wszystko, czego się do tej pory dowiedział. – Podobnie jak ja – oznajmił – mój brat jest nieżonaty. Jest, jak to się mówi, tęgim głowaczem. Ale beznadziejnie pomyłonym. Prześladowanym przez występki, wstyd, bojaźń, wyrzuty, instancje. Mój brat jest typem spacerowicza, a więc człowiekiem, który się boi. Szaleńczo. I jest odludkiem.

Ta misja stanowi prywatną inicjatywę asystenta i należy do mojej praktyki szpitalnej w Schwarzach. Po raz pierwszy zdarza mi się wyobrażać sobie obserwowanie jako pracę.

Zamierzałem wziąć ze sobą książkę Koltza o chorobach mózgu, podzieloną na „czynności wzmożone” (podrażnienia) i „czynności obniżone” (poraże-

nia), poniechałem jej jednak. Zabrałem natomiast książkę Henry’ego Jamesa, która już w Schwarzach dawała mi wytchnienie.

O czwartej opuściłem gospodę. W nagłym powierzchownym uspokojeniu ogarnął mnie, przenikając do szpiku kości, ogromny niepokój. Wrażenie, iż ta izba jest kaftanem bezpieczeństwa, który włożyłem, a teraz muszę zdjąć, kazało mi ruszyć pędem na dół. Zajrzałem do sali jadalnej. Ponieważ na kilkakrotne wołanie nikt się nie odezwał, wyszedłem na dwór. Potknąłem się o grudę lodu, zaraz jednak wyprostowałem się i obrałem cel: pniak drzewa odległy o jakieś dwadzieścia metrów. Zatrzymałem się przed pniakiem. Widziałem teraz same takie pniaki, wystające spod śniegu, jakby porozrywane pociskami, niezliczone dziesiątki. Przypomniało mi się, że siedząc ponad dwie godziny na łóżku, zasnąłem. Przyjazd i nowe otoczenie były winne mojemu wyczerpaniu. Wiatr halny, pomyślałem. Raptem zobaczyłem, jak z lasu, o niespełna sto metrów ode mnie, wyłania się, człapiąc, mężczyzna. Był to niewątpliwie malarz Strauch. Ukazał mi się tylko jego tułów, nogi były zasłonięte olbrzymimi zwałami śniegu. Moją uwagę zwrócił duży, czarny kapelusz. Malarz niechętnie, jak mi się zdawało, podązał od jednego pniaka do drugiego. Opierał się na lasce, którą potem się poganiał, tak jakby był poganiaczem, laską i bydłem rzeźnym w jednej osobie. Ale to wrażenie natychmiast zniknęło, a pozostało pytanie, jak tu możliwie najszybciej i najlepiej zbliżyć

się do niego. Jak mu się przedstawię? – myślałem. Podejdę i zapytam o coś, zastosuję więc wypróbowaną, choć naiwną metodę pytającego o godzinę czy drogę? Tak? Nie? Tak? Wahałem się. Tak. Zdecydowałem się przeciąć mu drogę.

– Szukam gospody – odezwałem się. I wszystko potoczyło się po mojej myśli. Przyjrzał mi się bacznie, bo moje nagłe pojawienie się nastrajało raczej podejrzliwie niż ufnie – i zabrał mnie ze sobą. Powiedział, że jest stałym gościem gospody. Musi to być chyba dziwactwo albo pomyłka, kiedy ktoś zatrzymuje się w Weng. Szuka tu odpoczynku. – W tej tam gospodzie? – Niepodobna wręcz być tak młodym, żeby od razu nie spostrzec, iż jest to niedorzeczność. – W tej okolicy? – Na tak niezwykły pomysł mógł wpaść tylko dureń. – Albo kandydat na samobójcę. – Zapytał, czym jestem, co studiuje, bo przecież na pewno „jeszcze coś” studiuje, a ja odrzekłem, jak gdybym oznajmiał najbardziej oczywistą rzecz pod słońcem: – Prawo. – To mu wystarczyło. – Niech pan spokojnie idzie naprzód. Ze mnie przecież już stary człowiek – powiedział. Jak on wygląda, chwilami tak mnie to przerażało, że najchętniej zapadłbym się pod ziemię, gdy widziałem go po raz pierwszy, takiego bezradnego.

– Jeśli pójdzie pan w tym kierunku, który panu wskazuję łaską, dotrze pan do doliny, po której może pan wędrować godzinami, wzdłuż i wszerz, nie odczuwając najmniejszego lęku – powiedział. – Nie musi pan się bać, że zostanie pan wytropiony. Nic

panu nie może się przytrafić: wszystko jest zupełnie wymarłe. Ani bogactw naturalnych, ani zbóż, nic. Znajdzie pan trochę śladów z tych czy innych czasów, kamienie, odłamki murów, znaki nie wiadomo czego. Określony, tajemniczy stosunek do słońca. Pnie brzoź. Rozwalony kościół. Szkielety. Ślady buszującej zwierzyny. Cztery, pięć dni samotności, milczenia – powiedział. – Natura całkiem nieskażona przez ludzi. Gdzieniedzie wodospady. Jest to jakby wędrówka przez przedludzkie tysiąclecie.

Wieczór zapada tu raptownie, jak grom. Jak gdyby na komendę spuszczano olbrzymią żelazną kurtynę, odcinając jedną połowę świata od drugiej, do cna. W każdym razie noc przychodzi pomiędzy dwoma krokami. Gasną okropne, matowe barwy. Gaśnie wszystko. Bez jakiegokolwiek przejścia. Za sprawą halnego w ciemnościach wcale nie robi się zimniej. Atmosfera, która co najmniej ogranicza, jeśli nie zatrzymuje pracę serca. Szpitale mogłyby dużo powiedzieć o tym prądzie powietrznym: pacjenci uznani za zdrowych, w których sztuka medyczna wpakowała, co tylko się dało, aż znowu pojawiła się nadzieja, tracą przytomność i nie sposób już ich ożywić żadną, choćby najzręczniejszą zastosowaną, ludzką teorią. Wpływy atmosferyczne wywołujące embolię. Zagadkowe układy chmur, gdzieś daleko stąd. Psy pędzą bez sensu po ulicach i podwórzach, rzucają się na ludzi. Rzeki tchną wonią gnicia swego całego biegu. Góry są tworamami mózgowymi, na

które można się natknąć, za dnia widoczne aż nadto wyraźnie, w nocy w ogóle niedostrzegalne. Nieznajomi odzywają się nagle do siebie na skrzyżowaniach dróg, zadają pytania, udzielają odpowiedzi, których nikt od nich nie żądał. Jak gdyby w jednej chwili wszystko się zbratało: brzydota ośmiela się zbliżyć do piękna i odwrotnie, bezwzględność staje u boku słabości. Uderzenia zegara skapują na cmentarz i mansardowe dachy. Śmierć zręcznie wślizguje się w życie. Znienacka również dzieci popadają w stan osłabienia. Nie krzyczą, ale biegają po pociągu osobowym. W gospodach i na stacjach kolejowych w pobliżu wodospadów nawiązuje się stosunki, które nie przetrwają ani chwili, zawiera się przyjaźnie, które nie doczekają nawet świtu; słowo „ty” bywa poddawane torturom aż do granic umyślnego zabójstwa, a potem zdławione prędko małą podłością. Weng leży w kotlinie, żłobionej miliony lat przez ogromne bloki lodowcowe. Skraje dróg kuszą do nierządu.

DZIEŃ TRZECI

– Nie jestem malarzem – powiedział dzisiaj – co najwyżej byłem pacykarzem.

Wytworzyło się między nami napięcie, które niezależnie od naszej woli narzuca nam wzajemny stosunek. Byliśmy w lesie. Bez słowa. Przemawiał jedynie mokry, oblepiający stopy kilogramowym ciężarem śnieg, wtrącał się niezrozumiale wpraw-

dzie, lecz stale. W milczeniu. W niesłyszalne słowa, które, pomyślane, były i jakby nie były obecne. Strauch co chwila chce, żebym szedł przodem. Boi się mnie. Z opowieści i z doświadczenia wie, że młodzi napadają człowieka od tyłu, obrabowują. Fizjonomia często odwraca uwagę od narzędzi mordy i rabunku. Dusza, o ile jest się skłonny tak nazywać tę „wędrowniczkę po wszelkich zasadach”, ponieważ się w nią wierzy, podąża naprzód, ale rozum, złożony z nieufności, obawy i podejrzliwości, pozostaje w tyle, uniemożliwia zastawienie pułapki. Choć mówię, że zupełnie nie orientuję się w tych stronach, każe mi iść przed sobą. Co jakiś czas komenda „w lewo” czy „w prawo” rozwiewa moje przypuszczenie, że zanadto oddalił się, w myślach. Wykonuję te rozkazy w ciemno i z niecierpliwością. Dziwne było, że nie widziałem żadnego światła, które by mi pomagało odnajdywać kierunek. Było to jakby dryfowanie, także duchowe, a równowaga jest wówczas wszędzie i nigdzie. Co bym zrobił, gdybym teraz był sam? To taka myśl, która pojawiła się nagle. Malarz szedł za mną jak ogromne obciążenie mojego systemu nerwowego: jak gdyby za moimi plecami wciąż wyciągał konsekwencje. Za moment znów sapał i wołał, żebym się zatrzymał. – Codziennie chodzę tą drogą – powiedział – chodzę już od dziesiątków lat. Mógłbym nią iść we śnie. – Próbowałem dowiedzieć się czegoś bliższego o przyczynach, dla których przebywa teraz w Weng. – Jestem tu ze względu na moją chorobę i wszyst-

ko inne razem wzięte – odparł. Nie spodziewałem się bardziej szczegółowej informacji. Opisałem mu swoje życie, tak jak umiałem, w punktach, z którymi wiązałem chwile radosne lub smutne, przedstawiłem, jak to życie, moim zdaniem, zrobiło ze mnie to, czym jestem teraz – nie zdradzając, kim, w danej chwili, jestem *naprawdę* – i to z otwartością, która mnie samego zaskoczyła. Ale jego wcale to nie interesowało. Interesował się tylko sobą.

– Gdyby pan wiedział, ile mam lat podług kalendarza, byłby pan przerażony – powiedział. – Na pewno wyobraża pan sobie, że jestem starcem, młodzi są przecież skorzy do takich ocen. Byłby pan dotknięty. – Zdawało się, że jego twarz pociemniała jeszcze o parę stopni beznadziejności. – Natura jest okrutna – podjął – a już najokrutniej obchodzi się ze swoimi najpiękniejszymi, najbardziej zdumiewającymi, przez nią samą wybranymi talentami. Rozdeptuje je, nawet nie drgnąwszy powieką.

Nie ma wysokiego mniemania o swojej matce, tym bardziej o swoim ojcu, a rodzeństwo stało mu się z czasem tak obojętne, jak on, w swoim mniemaniu, zawsze był obojętny jemu. Ze sposobu jednak, w jaki o tym mówi, wynika, że bardzo kochał matkę, ojca i rodzeństwo. Ależ jest do nich przywiązany! – Wszystko od początku było dla mnie po nure – stwierdza. Wprowadziłem go trochę w moje dzieciństwo. Powiedział na to: – Każde dzieciństwo

jest takie samo. Tylko jedno ukazuje się w pospolicym, drugie w łagodnym, trzecie w diabelskim świetle.

W gospodzie, jak mi się zdaje, odnoszą się do niego z niezbędnym szacunkiem. Za jego plecami jednak stroją najróżniejsze miny.

– Człowiek wie o ich wybrykach. Chłonie zapach ich płciowości. Wyczuwa, co ci ludzie myślą, zamierzają, wyczuwa, jak kłębi się w nich stale to, co zakazane. Ich łóżka stoją pod oknem albo za drzwiami, a może tu w ogóle nie chodzi o łóżka: oni doprowadzają się w nich od jednej okropności do drugiej... Mężczyźni obchodzą się ze swoimi kobietami jak z dobrze zbitym mięsem i na odwrót, jedni z drugimi, jak z bezwolną tępotą. Można by to wszystko uznać za wielką zbrodnię. Prymitywizm jest dobrem powszechnym. Jedni reagują na układy, inni niemal wszystko wiedzą z natury... spodnie, które są dla nich za ciasne, spódnice doprowadzają ich do szału. Wieczory ciągną się długo: tak nie może być! Parę kroków do środka, od środka, to tu, to tam, żeby nie przemarznąć... Nie otwierają ust, co innego się wyładowuje... raności mąci wzrok, tak że człowiek kompletnie traci głowę. To płciowość zabija wszystkich. Płciowość, choroba, która uśmierca z natury. Wcześniej czy później niszczy nawet najgłębszą serdeczność... powoduje przemianę jednego w drugie, dobra w zło, przejście stąd tam, z góry w dół. Bezbożność, bo zniszczenie góruje *nad* wszystkim... z moralności wyłania się wtedy

amoralność, wzorzec dla wszystkiego, co kiedykolwiek uległo zagładzie. Dwulicowość natury, można powiedzieć. Robotnicy, którzy się tu kręcą – ciągnął – żyją wyłącznie płciowością, jak większość ludzi, jak wszyscy... żyją nieustannym, przeciągniętym aż po ich kres szaleńczym procesem przeciwko wstydlivosti i czasowi, i na odwrót: ruiną. Czas nie szczędzi im ciosów, a ich droga jest potem wybrukowana jedynie rozpustą. Jedni ukrywają to, maskują lepiej, inni gorzej. Kto ma dość zręczności, u tego spostrzeżga się to dopiero, kiedy wszystko jest już daremne. Ale wszystko zawsze jest daremne. Wszyscy oni żyją życiem płciowym, a więc żadnym życiem.

Zapytał mnie, jak długo zostaną w Weng. Żeby przygotować się do paru wiosennych egzaminów, odparłem, muszę już niedługo wracać do domu. – Ponieważ studiuje pan nauki prawne – powiedział – z pewnością łatwo panu będzie znaleźć posadę. Prawników angażuje się zawsze i wszędzie. Miałem siostrzeńca, który był prawnikiem, tylko że od stosów akt pomieszało mu się w głowie i musiał zrezygnować z państwowej posady. Skończył w Steinhofie. Wie pan, co to takiego? – Odrzekłem, że zakład dla umysłowo chorych „Am Steinhof” jest mi znany. – Wobec tego wie pan, jak skończył mój siostrzeniec – powiedział.

Byłem przygotowany na przypadek trudny, ale nie beznadziejny. „Siła charakteru, która prowadzi do śmierci”, przypomniały mi się te słowa z czytanej

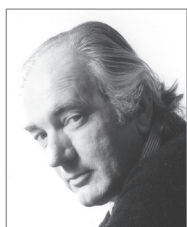
kiedyś książki; zapoczątkowały rozmyślenia nad osobą malarza, którym oddawałem się tego popołudnia: jak to się dzieje, że zaprzęta go tylko samobójstwo? Czy samobójstwo może być dla człowieka czymś w rodzaju skrytego pragnienia, żeby tak się sobie dać we znaki, jak się tylko zechce? Co to jest samobójstwo? Unicestwienie siebie. Słusznie albo niesłusznie. Z jakiego powodu słusznie? Dlaczego niesłusznie? Wszystkie moje myśli usiłowały połączyć się w tym punkcie, który zawiera odpowiedź na pytanie: czy samobójstwo jest dozwolone? Nie znalazłem żadnej odpowiedzi. Nigdzie. Bo ludzie nie są odpowiedzią, nie mogą być, nie udzieli jej nic, co żyje, ani też zmarli. Popelniając samobójstwo, niszcę coś, czemu nie ja jestem winien. Coś, co zostało mi powierzone? Przez kogo? Kiedy? Czy byłem wówczas świadom, że to nastąpiło? Nie. Ale głos, którego nie sposób po prostu nie dosłyszeć, mówi mi, że samobójstwo to grzech. Grzech? Taki zwyczajny? Grzech śmiertelny? Taki zwyczajny jak grzech śmiertelny? Jest to coś, co burzy wszystko, mówi głos. Wszystko? A cóż to jest „wszystko”? Jego hasło, na jawie i we śnie, brzmi: samobójstwo! Dławi się nim. Zamurówuje jedno okno po drugim. Niebawem zamuruje siebie. Wtedy, kiedy już nic nie będzie widział, ponieważ nie będzie mógł oddychać, będzie przekonujący: bo będzie martwy. Wydaje mi się, jak gdybym pozostawał w cieniu bliskiego mi toku myśli, jego toku myśli: jego samobójstwa.

– Mózg ma strukturę państwa – powiedział malarz.
– Nagle powstaje anarchia. – Czekałem w jego pokoju, aż włoży buty. „Wielcy i mali wichrzyciele pośród myśli” często, tak jak ludzie, zawierają przymierza, aby łamać je z godziny na godzinę. A „zrozumienie i chęć bycia zrozumianym to oszustwo. Oparte na wszelkich błędach płci”. Przeciwieństwa panują w nocy, która trwa wiecznie, również w ciągu dnia, który *działa* tylko pozornie. – Widzi pan, barwy są wszystkim. A więc i cienie są wszystkim. Przeciwieństwa mają duże walory barwne. – Pod wieloma względami jest tak jak z rzeczami do ubrania, które człowiek kupuje i parę razy wkłada, a potem odkłada i nigdy już ich nie nosi, w najlepszym razie je odprzedaje, nie darowuje, pozwala im niszczyć w kufrze. Wędrują one na strych albo do piwnicy. – Wieczorem można ocenić ranek – powiedział – ale i wtedy ranek jest zawsze niespodzianką. – Nie istnieje doświadczenie w ścisłym tego słowa znaczeniu: „i stąd nie ma ludzi zrównoważonych!”. Są wprowadzić możliwości ratunku przed zagrożeniem i bezbronnością. – Ja jednak tych możliwości nigdy nie miałem. – W jednej chwili to, co liczy się w życiu, traci całą wartość. – Trud zostaje uwieczniony rozczarowaniem – powiedział. O ile początek układa się świetnie, o tyle koniec przychodzi brutalnie, jeszcze brutalniej niż to, co go poprzedzało. – W każdym razie ten, co dotarł na górę, przekonuje się, że nie ma żadnej góry. Byłem równie młody jak pan, gdy już od dawna uspokajała mnie świadomość, że

nic nie jest warte wysiłku. I zarazem niepokoiła. Dzisiaj znów mnie przeraża. W tym przerażeniu straciłem orientację. – Nazwał swój stan „wyprawami w dziewicze puszcze samotności”. – Jak gdybym musiał przebiegać tysiąclecia, ponieważ ściga mnie parę chwil, grożąc pobiciem – powiedział. Nigdy nie brakowało mu niedostatków i nigdy nie uchylał się przed wyzyskiwaniem przez innych, nie mógł się uchylać. – Inwestowałem jeszcze w ludzi, wiedząc już, że mnie podchodzą, wiedząc od dawna, że uwzieli się, aby mnie zabić. – Odtąd trzymał się już tylko samego siebie, „jak człowiek przytrzymuje się drzewa, które też jest już spróchniałe, ale jednak jest drzewem”, a rozum i serce opuściły go, zepchnięte na dalszy plan.

Są we wsi ludzie, którzy jeszcze nigdy nie wychylili nosa poza dolinę. Roznosicielka chleba na przykład, która mając cztery lata, zaczęła roznosić chleb i nie zaprzestała roznoszenia go aż po dzień dzisiejszy, kiedy to ma siedemdziesiątkę. Mleczarz. Oboje widzieli dotychczas pociągi jedynie z zewnątrz. I siostra roznosicielki chleba, i zakrystian. Pongau jest dla nich tym, czym dla kogoś innego czarna Afryka. Szewc. Pozostają tam, gdzie mają pracę i zarobek, coś innego ich nie interesuje. Albo lękają się ruszyć z doliny. – Przyjaciół dał mi adres gospody – powiedziałem. Jak zdobyłem się na to kłamstwo? Tak zwyczajnie, jak gdyby nie było rzeczy łatwiejszej niż kłamać. I to kłamać stale, na okrągło. – Nie

wahałem się – dodałem – bo lubię przyjeżdżać do miejscowości czy w okolice, których nie znam. – Powietrze ma tu okropny skład – powiedział malarz. – Raptem warunki zewnętrzne zaczynają krępować pańską swobodę ruchów. – Chciał wiedzieć, czemu wybrałem sobie na kwatery właśnie tę, a nie inną gospodę, skoro jest tu przecież kilka gospód, a nawet pensjonatów. – Również dalej w głąb doliny. Ale to wchodzi w rachubę chyba tylko dla przejezdnych, szukających jedynie noclegu. – Wszystko było pomysłem przyjaciela – skłamałem. – I tak, zaopatrzonej w parę adresów, przyjechałem. – I pańska podróż przebiegła bez żadnych incydentów? – Nie mogłem sobie przypomnieć jakiegokolwiek incydentu w czasie jazdy. – Widzi pan – powiedział – kiedy ja jestem w podróży, zawsze zdarzają się incydenty. – Wracając do wsi i do gospody, stwierdził: – Trzeba mieć coś do czytania albo jakąś pracę. Wziął pan coś ze sobą? – Książkę Henry’ego Jamesa – odparłem. – Henry’ego Jamesa? – powtórzył. – Ja – oznajmił – umyślnie zostawiłem książki w domu. Mam tu co prawda parę drobiazgów. Właściwie jednak nic poza moim Pascalem. – Przez cały czas nie patrzył na mnie, szedł mocno przygarbiony. – Bo ja zwinąłem interes – powiedział. – Tak jak zwija się stragan, kiedy odejdzie już ostatni klient. – Potem: – Tutaj może pan poczynić jedynie obserwacje, które przeobrażają się w chłód, w niechęć do samego siebie. Jeśli pan tego chce: wszędzie, gdzie są ludzie, można obserwować. Przynajmniej cze-



Mról (1963) to debiut powieściowy wybitnego austriackiego pisarza **Thomasa Bernharda** (1931–1989). Przyjęty entuzjastycznie przez krytykę, stał się literackim wydarzeniem nie tylko w Austrii i otworzył autorowi drzwi do kariery.

Narrator – student medycyny – udaje się z tajną misją do miejscowości w Alpach: ma obserwować samotnego, bliskiego obłąkania artystę, który po zniszczeniu całego swego malarskiego dorobku zaszył się na wsi. Już w pierwszej powieści Bernhard zagłębia się więc w analizę stanów psychicznych osób o szczególnej wrażliwości. W przytaczanych zaś przez narratora rozwichrzonych monologach malarza może wypowiedzieć opinie, często radykalne, na rozmaite tematy: medyczne, filozoficzne, społeczne...

A w tle **mról** i śnieżna zima, echa niedawnej wojny, tragiczne wypadki w ponurej alpejskiej dolinie i galeria postaci lokalnej społeczności.

„Malarz szedł za mną jak ogromne obciążenie mojego systemu nerwowego: jak gdyby za moimi plecami wciąż wyciągał konsekwencje”.

ISBN 978-83-07-03470-6



9 788307 034706

www.czytelnik.pl

Dostępna też jako
E-BOOK